ROK I. SOBOTA. 29 STYCZEŃ 1842.

Roczniki krytyki literackiéj wychodzą dwa razy w tydzień, we Wtorek i w Sobotę, w objętości dużego pół arkusza. Numerów pięćdziesiąt i dwa, czyli jedno półrocze; stanowić będzie Tom; — dwa Tomy stanowią całość.

Przedpłata roczna wynosi Zł. 36; półroczna Zł. 20; kwartalna Zł 12.— Prenumerować można:

W Redakcyi Roczników krytyki literackiéj, przy ulicy Tłomackie Nr. 739 w pałacu dawniéj Ossolińskich, w officynie na 1szém piętrze;

U osób prywatnych które się tem zajmować raczą;

We wszystkich znaczniejszych księgarniach w kraju i za granicą;

Na Urzędach i Stacjach Pocztowych w królestwie; lecz tam jedynie za przedpłatą roczną lub półroczną.

Szan: Prenumeratorowie w Warszawie mieszkający, na żądanie nadesłane sobie mieć będą Roczniki do mieszkań swoich bez żadnéj nadpłaty.—

Nr 9.

ROCZNIKI KRYTYKI LITERACKIEJ.

REDAKTOR GŁÓWNY: FR. HENRYK LEWESTAM.

HISTORJA LITERATURY POLSKIÉJ,

przez Michała Wiszniewskiego.

(*Dokończenie*).

W rozdziale poświęconym filozofji rodzimej w Polsce, w niedostatku lepszych, autor zajmuje się *Grzegorzem z Sanoka*, któremu przecięż naszém zdaniem zanadto czyni zaszczytu, kiedy go nazywa *prawdziwym filozofem i mężem z nadzwyczajnym geniuszem*. Nie jestże to stronny głos szanownego wydawcy biografji tegoż Grzegorza, którą nam Kallimach zostawił? Nie potrzeba dopiéro szukać Bakona de Verulam, aby więcéj znaleźć przeciwników filozofji scholastycznéj, wszakże na samém łonie téj filozofji codziennie dosyć ich powstawało. Powiedzieć że ówczesne zapatrywanie się na księgi Arystotelesa *jest marzeniem ludzi czuwających*, nie stanowi jeszcze samoistnéj zasady filozoficznéj,— tém mniéj zaś taki wyrok filozofją rodzimą nazwać wypada.

Tak samo jak Grzegorz z Sanoka ma bydź reprezentantem filozofji Polskiéj, jeden *Jan z Głogowy* wyobraża Fizjognomikę, kranoskopję i chiromancję. Porównanie jego jakie robi p. Wiszniewski z Lavaterem i Gallem nie zupełnie stosowne, bo metoda zasad wcale od owego czasu zmienioną została. Żałujemy zarazem, że autor mówiąc o tych naukach zwodniczych, nie wspomniał zarazem o Alchymji, i o ludziach którzy ją najwięcéj u nas obrabiali, tém bardziéj ile że w tym przedmiocie mógłby był użyć tych samych po większéj części źródeł.

Historja języka i literatury łacińskiéj w Polsce zaczyna się od dość obszernego rysu literatury starożytnéj we Włoszech. Krzewienie się języka łacińskiego w naszym kraju, wyliczanie grammatyk które się najbardziéj do tego przyczyniły, i mężów którzy w akademji krakowskiéj już to samoistnemi dziełami, już téż kommentarzami do klassyków łacińskich, literaturę tego języka najwięcéj upowszechniali, ważnym jest dodatkiem do dziejów uniwersytetu Jagiellońskiego. Niemało wreszcie pozorną jest przyczyna, jakoby tylko dla nienawiści którą pałali scholastycy przeciw humanistom, przy końcu XV a na początku XVI wieku literatura klassyczna zupełnie w Krakowie upadła;— wszakże ciemna owa filozofja scholastyczna, na drobiazgach całą swoją

istotę zasadzająca, nie miała większego wroga od dobrze przejaśnionych autorów rzymskich. Dlatego téż jesteśmy przekonani, że przyostrym jest zarzut czyniony w następnym rozdziale (O wpływie odradzającéj się w XV wieku literatury starożytnéj na nauki i oświecenie) tymże autorom klassycznym, jakoby oni przytłumili literaturę rodzimą, drugie nauki w zaniedbanie podali, a do innych postępu nie wiele się przyczynili. Niesłuszna nam się zdaje, kłaśdź na karb pisarzy starożytnych niedorzeczności takich ludzi, jakimi był *Konrad Celtes*, który professorów akademji nazywa Sofistami, mnichów Druidami, mniszki pannami westalskiemi; który znajomych sobie z pomiędzy duchowieństwa mianuje kapłanami Jowisza, a Feba, Merkurjusza, Bachusa kładzie obok świętych chrześciańskich. Takie przesiąknienie zasadami klassycyzmu jest więcéj niż śmieszne i dowodzi rozumu nader pospolitego,— nie brakło zaś i na takich, którzy wielkiemi wzorami greckiemi i łacińskiemi godziwie się przejmowali a usposabiali się tém samém do późniéjszego samodzielnego tworzenia w literaturze krajowéj.

Prawda zaiste że poezja polsko-łacińska, któréj najdawniéjszym zabytkiem z piętnastego wieku jest wiersz o bitwie pod Grünwaldem przez świadka naocznego napisany, a w któréj celowali przed innemi: *Adam Swinka*, *Grzegórz z Sanoka* i *Corvinus*, nie wielkie daje wyobrażenie o dobrym smaku rozwiniętym za pośrednictwem autorów starożytnych. Wymowa atoli, licząca między zwolennikami swojemi kardynała *Zbigniewa Oleśnickiego*, *Długosza*, *Andrzeja Laskarego*, *Mikołaja Lassockiego* i innych, niepoślednie w literaturze powszechnéj zajmuje miejsce. Niektóre pomniki téj wymowy dziś jeszcze z coraz większém czytamy zadowoleniem, gdyż wiernie malując ówczesny stan rzeczy politycznych i naukowych, przemawiają zarazem do nas czystością języka i świeżością myśli, tak bardzo późniéj w wymowie polskiéj zaniedbanych.

Przedmiotem następującego rozdziału jest historja poezji i prozy *polskiéj* w XV wieku. Zabytki zwłaszcza pierwszéj niezmiernie są ubogie i mało znaczące; poezja dramatyczna, o któréj ogółowém znaczeniu autor w pięknym bardzo ustępie się rozpisał, taka jest jaką okazują nam nużące a zarazem niesmaczne misterja i gry mięsopustne. Co się tyczy prozy, najważniéjszym z tego wieku zabytkiem jest przekład biblji, który królowa *Zofja* Jędrzejowi z Jassowic, teologowi akademji krakowskiéj uskutecznić, a Piotrowi z Radoszyc, pisarzowi grodu korczyńskiego, na pergaminie przepisać kazała. Ostatni zaś rozdział obejmuje obszerną wiadomość o życiu i o pismach Włocha *Kallimacha*, który na dzieje swojego czasu tyle miał wpływu, a sam nawzajem wiele od niego wycierpiał.— W dodatkach, zawierających oprócz tego wiadomość o ubiorach polskich w XV wieku, i dokumenta tyczące sprawy Świętopełka Fiola, najciekawszym jest z rękopismu wydany list uczonego *Eneasza Silwiusza* (późniéj Papieża Piusa II), pisany około r. 1444 do kardynała Zbigniewa Oleśnickiego o literaturze starożytnéj. Jakkolwiek, ściśle rzeczy biorąc, podobny list nie wchodzi do zakresu historji literatury polskiéj, my przecięż wszelką autorowi za to wyrażamy wdzięczność, że się nie wahał wciągnąć do téj historji takich przedmiotów, które związek z nią mają jedynie wewnętrzny, nie zaś na piérwsze wejrzenie widoczny.

Co do nas, najsilniejsze mamy przekonanie, że się p. Wiszniewski nie zrazi napaścią, którą od niejakiego czasu uprzedzona o sobie krytyka przeciwko niemu wymierza. Oprócz napomkniętéj już przez nas recenzji znajdującéj się w styczniowym zeszycie Biblioteki Warszawskiéj, jakiś p. *A. Mosbach* z Wrocławia, w jednym z ostatnich numerów Tygodnika literackiego, zupełnie podobne autorowi tego dzieła czyni zarzuty. Nazywa je *mniemaną historją literatury polskiéj*; twierdzi, że ze wszystkich rozdziałów w trzecim tomie zawartych, jeden tylko (o Grzegorzu z Sanoka) wchodzi w obręb historji téj literatury; utrzymuje, że wiadomość o stanie nauk i piśmiennictwa w cudzych krajach nie należy do rzeczy, o któréj autor pisać przedsiębierze. Zjakże ciasnego pojęcia wypływać musi takie krępowanie nauki i ducha ludzkiego!

P. Wiszniewski dokona swego założenia. Błędy, które (gdy wszystko w życiu naturze ludzkiéj ulegać musi) koniecznie i do jego dzieła się wcisnęły, przy późniejszéj edycji wygładzonemi bydź mogą;— my w tém tylko napomnieć jego się ośmielamy, żeby przy téj swojéj pracy ciągle pamiętał, iż ona ma bydź nie błahą efemerydą: ale książką co w późne lata jeszcze swéj wartości nie straci. Przyznać należy że niektóre rozdziały w jego historji literatury słabiéj od innych są obrobione;— tego przedewszystkiém niechaj się wystrzega! Niechaj wstręt przezwycięży, który czuje do niejednéj ocięźalszéj epoki,— niechaj mu równa zawsze gorliwość w tak heroiczném towarzyszy przedsięwzięciu;— a my z tąż samą radością powitamy tom czwar-

ty i następne, z jaką trzy pierwsze dzisiaj nam rozebrać wypadło.

F. H. L.

BEETHOVEN.

Biographie von Ludwig van Beethoven, verfaßt von Anton Schindler. Münster bei Aschendorff. 1841. (Życiopis Ludwika van Beethoveu, przez *Antoniego Schindlera*).

Życiopisy znacznych ludzi zawsze są zjawieniem zajmującém, nawet ważném dla literatury i dla zakresu myśli w ogólności. Człowiek tak ogromném jest zagadnieniem, że każde indywiduum wymaga nowego rozwiązania onego; a kto zręcznie się z niém obchodzić potrafi, utrzyma uwagę czytelnika wtedy nawet, kiedy sam przedmiot nie szczególnie się odznacza. Oto zdaniem naszém cała tajemnica, dla któréj wszystkie prawie życiopisy tak dziwny urok posiadają.

Jeśli więc zwyczajny już człowiek osobą swoją każdego zająć potrafi, cóż powiemy o Beethovenie, którego najmniejsza pamiątka relikwią bydź powinna? Dzieło które mamy przed sobą, z tego względu prawdziwym skarbem nazwać możemy. Skarb to wprawdzie nienajlepiéj uporządkowany, nie rozwijający z dostateczną jasnością psychologiczną charakteru tego nadzwyczajnego geniuszu: byłoby téż to zadaniem, któremuby zaledwie największy talent wystarczył: nazwać go jednak możemy dziełem aforystyczném, dopełniającém ściśle głównych warunków opisu biograficznego: prawdy i wierności. Słusznie bardzo autor powiada w przedmowie, wspominając o *Rochlicu* który niechciał napisać Biografji Beethovena, chociaż go sam kompozytor umierając wzywał do tego: że do życiopisu tego męża takiego potrzeba, coby z nim *żył* i *przeżył* wielką część życia swojego. P. Schindler odpowiada temu warunkowi; my téż ze względu na to radzibyśmy w dziele jego więcéj jeszcze spostrzegli wiadomości szczegółowych. Autor życie Beethovena rozkłada na trzy główn oddziały; pierwszy z nich obejmuje lata młodocianee od roku urodzenia 1770 (d. 17 Grudnia) aż do r. 1800, a zatém lat trzydzieści. P. Schindler słusznie te czasy wychwala jako wiek dla sztuki nieoceniony, a dla Beethovena w szczególności złoty; szkoda tylko że nie dość obszernie nad tą epoką się zastanawia: mało zwłaszcza mówi o piérwszéj młodości Beethovena i o pobycie jego w Bonn. Więcéj się już rozpisał nad pobytem jego w Wiedniu. Pierwszy raz przemieszkiwał w téj stolicy od r. 1786 - 1787; wtedy to poznał Mozarta. Wiadomo co powiedział wielki ten mistrz, kiedy młodzieniec Beethoven przed nim po raz piewszy im prowizował: «Zobaczycie, rzekł, o tym chłopcu dużo jeszcze gadać będą!» Drugi pobyt Beethovena w Wiedniu poczyna się od r. 1792, a od tego czasu już był prawie stałym. P. Schindler ciekawe przytacza fakta ściągające się do tego okresu: sławny lekarz van Swieten i rodzina książąt Lichnowskich byli głównemi protektorami młodego geniuszu. Ważne jest co powiada autor o stosunku Haydena jako nauczyciela do ucznia Beethovena, i o nieporozumieniu które zaszło między niemi, z powodu niecnéj zazdrości pierwszego.

Drugi rozdział obejmuje okres od r. 1800 - 1813; — okres najobfitszy w genialne utwory wielkiego kompozytora, ale obfity zarazem w nieszczęśliwe zdarzenia, z których było najnieszczęśliwszém, a skutki swoje na całe jego życie rozciągającém, początkowe niedosłyszenie, a następnie zupełna głuchota. Jest to okrutna igraszka natury, żeby z pośród tylu milionów ludzi właśnie tego sobie wybrała do pozbawienia zmysłu, w którym ten umysł ze wszystkich najprzedniejszą miał wartość. Do ogłuchłego Beethovena chyba tylko oślepły jaki Rafael przyrównanym bydź może! Lecz inne jeszcze cierpienia zaczęły otaczać życie szlachetnego artysty; a niestety wyrządzali mu te cierpienia ludzie, którzy podług wszelkich praw ludzkich i boskich powinni byli bydź dla niego najbardziéj przychylnemi. Właśni to bracia byli przyczyną ciągłego smutku; smutku który niekiedy zapewne sam sobie zawinił, lecz któregoby tusze szlachetne nie były tak dalece na złe nadużyły. Wszystko cokolwiek autor o tych nieszczęsnych okolicznościach wspomina, niemniéj jest zajmujące, jak przerażające. Najbardziéj wzrusza opis stosunku, w jakim stał Beethoven do syna jednego z owych braci. Tu się objawia cała wewnętrzna szlachetność serca, która w najopaczniéjszych czynnościach nigdy całkiem nie ginie. Widzimy jak z prawdziwie świętą gorliwością przed sądem broni swego prawa i powołania do tego, iżby był ojcem małego chłopczyny, gdy matkę jego ma za kobiétę niedobrych obyczajów. Jakże silnym był w jego sercu popęd owéj miłości, która tworzy stosunki naturalne między ludźmi, miłości ojcow-

skiéj, braterskiéj, w ogóle rodzinnéj. Jakże zaś ta miłość jemu nagrodzoną zostaje! Niewdzięcznością i żalem nieskończonym, zupełnym zepsuciem owocu, który tyle się starał uszlachetnić! Zaiste, drogo okupić musiał dary boskiego geniuszu,— z tysiąca zaledwo jeden przyjąłby je na się za tę cenę. W Beethovenie na nowo się okazuje, jak rzadko nadmiar przymiotów szczęściem jest dla tego, który je posiada: one bowiem zostają światu, a zaś walka, boleść i brzemię temu, co je rozpościera. Jest to nowy powód do wdzięczności za owe wzniosłe utwory, któremi się Beethoven unieśmiertelnił,— bo na prawdę, nie jego ztąd, ale nasza wyuikła uciecha. Wszakże i on miał swój udział w błogosławieństwie Boskiém; w najokropniejszych cierpieniach duszy *sztuka* mu łagodném swojém światłem przyświeca; w najzawilszych labiryntach przyjazną jemu podaje rękę; w najsmutniéjszych walkach stoi przy nim jéj postać pocieszająca. Dzieło p. Schindlera obfituje w dowody tego cośmy powiedzieli. Niepojętą na zawsze pozostanie zagadką, jak potrafił w pośród dziwnych okoliczności charaktéru i życia swojego, utworzyć tyle rzeczy wielkich i wzniosłych, czasem nawet wesołych;— jest to najlepszy dowód niezmiernéj siły twórczéj jego geniuszu. Silne nawet natury uledzby musiały pod połową, pod czwartą częścią brzemienia tych nieszczęść, téj goryczy i drobnego zmartwienia codziennego,— a chociaż to zmartwienie w saméj rzeczy jest najmniéjszym stopniem cierpienia, najśmiertelniejszym może jest dla usposobienia artystycznego;— przeciwnie wielkie nieszczęście podnosi, i siły nasze wypręża. Przykrości domowe i towarzyskie lada chwila wracające niszczą spokój umysłowy, tak samo jak niedostateczna doza emetyku wszystkie nerwy odstraja.

Męczennictwo Beethovena powiększa się jeszcze w trzecim oddziale życia jego, t. j. od r. 1813 aż do śmierci. Wprawdzie ta epoka zaczyna się od świetnego zdarzenia, bo od kongresu wiedeńskiego, podczas którego dostojne monarchów grono uszanowało piérwszego wówczas władzcę w królestwie tonów. Był to szczyt jego sławy i blasku, bo odtąd życie jego coraz bardziej upada w odmęt ciemnych trosk i żalów. Coraz się słuch jego pogorsza, aż nareszcie głuchnie zupełnie; – sztuka w koło niego ginie; nieene bożyszcza wdzierają się do jéj świątyni: *Beethoven* patrzyć musi na to, jak w opinji publicznéj *Rossini* z tronu go strąca!!

Jedna okoliczność wielkiego kompozytora w oczach naszych podosi, chociaż go gani z tego biograf. Rossini chciał się przed nim upokorzyć, Beethoven odrzucił te hołdy; cztéry razy dumny Włoch znalazł wrota jego zamknięte. I słusznie, w oczach bowiem Beethovena Rossini nie był czém inném jedno świętokradzcą.—Tymczasem miara nieszczęścia jego coraz się bardziéj przepełnia: siostrzeniec odpłaca mu się niewdzięcznością; starszy brat niegodnie z nim postępuje. Ludzie nawet tacy jak Goethe i Cherubini, którzy tém samém na zawsze siebie skalali, grzeszą przeciw niemu obojętnością, która względem podobnego człowieka jest może najnaganniejszą. Nareszcie sam nawet Beethoven o sobie powątpięwać zaczyna; błądzi przeciwko własnéj czystości moralnéj, co wszakże naturalnym jest skutkiem owego stanu chorobliwego. Łagodna śmierć uwalnia go od długich cierpień, śmierć od dawna już gorąco upragniona.

Nieznacznie, jak uważamy, zamiast recenzji o dziele napisaliśmy referat z samego dzieła,— ale nic to nie zaszkodzi. Sądowi bowiem krytycznemu w kilku tylko miejscach podlega; zresztą wdzięczność jedynie winni jesteśmy za to, że co dla siebie dotychczas autor posiadał, ceniącéj wielkiego mistrza udzielił powszechności.

B. L. U.

ROZMAITOŚCI.

Wyszła w Londynie druga edycja dzieła istotnie ciekawego i ważnego p. t: «Changes produced in the nervous system by civilization; considered according to the evidence of physiology and the philosophy of history, by Charles Verity» (*Zmiany zaszł w skutek cywilizacji w systemacie nerwowym; uważane ze względu na fizjologję i na filozofję historji*) Pismo «monthly chronicle» (*kronika miesięczna*) tak się o tém dziele wyraża: «Rozmaite ważne kwestje w tém dziełku obrobione, głębokie widoki, które ma o nich uczony autor, czynią z niego jednę z prac najgodniéjszych uwagi. Styl jest szlachetny i przezroczysty, często lorda Bakona przypominający;— całe pisemko ustala w sposób jasny teorje, które mamy za prawdziwe i nader szacowne.»